

Zapłute karły reakcji

29 października 2010

Władza Donalda Tuska uzyskała to, o czym bezskutecznie śnili Leszek Miller i Jarosław Kaczyński – pełne podporządkowanie mediów nie tylko – jak dotychczas – ogólnym kierunkom wyznaczanym przez panującą ideologię, lecz także doraźnym celom propagandowym konkretnej, akurat rządzącej partii. Jeśli komuś jeszcze się wydaje, że władzy Tuska cokolwiek zagraża – jakaś powódź, plaga, afera, protesty społeczne czy kryzys – jest w błędzie. Od 3 lat żyjemy bowiem w innym świecie – straszniejszym jeszcze od poprzedników. Zilustruję tę myśl przykładem.

Żadna inna partia rządząca nie wybrnęłaby z afery hazardowej. Mogliby rzecz jasna niezobowiązująco podszeptać prokuratorom, by ci zajęli się aferą nienachalnie, z pewnością też strąciliby ze stołka ichniejszego Chlebowskiego, jednak cała historia nie umknęłaby tak łatwo na ogół czujnym żurnalistom. Nad ministrem, który zwraca się per ty do kolegów łapówkarzy niechybnie pastwiono by się jeszcze miesiącami, a obrady sejmowej komisji śledczej – zwołanej natychmiast po rozmowie Zbycha z Rychem – zastąpiłyby w ramówce dobranockę. Rząd upadłby po kilku miesiącach konwulsji, a zamiast premiera, szczebiotałby do kamer jedynie Macierewicz. Spośród szeregu talentów do rozmaitych podłości, Platforma Obywatelska ma jednak jeszcze ten jeden, umożliwiający niepodzielne panowanie każdej, nawet najbardziej upiornej władzy – partia ta, jak żadna inna, potrafiła stuprocentowo podporządkować sobie media, co – z kilku przyczyn, również tych nieoczywistych – da jej możliwość sprawowania absolutnej hegemonii na niemożliwą do przewidzenia liczbę kadencji.

PARTIA BEZ WAD

Jeszcze o aferze hazardowej: dotychczas, tj. do ostatnich wyborów parlamentarnych, w stacjach telewizyjnych dominował

model swoistego, a deklarowanego, neoliberalnego idealizmu. Dziennikarz miał być rzecznikiem tzw. „zwykłych ludzi” przeciw rozmaitym, a zawsze skonkretyzowanym silniejszym (pod jednym wszakże warunkiem, że ów schwarccharacter, to nie był biznesmen, lub ksiądz, lecz i tu zdarzały się wyjątki). Podobny mechanizm stosowano w relacjonowaniu spraw politycznego mainstreamu. Nieistniejącą w żadnej stacji telewizyjnej, ani w żadnej większej gazecie możliwość krytyki wiążących decyzji politycznych, zastąpiono nieskrępowaną swobodą uderzania w polityków. Minister X czy Y zasługuje więc na krytykę czujnych i przecież niezależnych dziennikarzy nie dlatego, że wpędza ludzi w nędzę, albo uczestniczy w zbrodniach na Bliskim Wschodzie, ale dlatego że źle się ubiera, brzydko mówi, zdradza żonę, pije lub bierze łapówki. Zaspokajało to wśród odbiorców potrzebę dowalenia politykom, a także – co ważniejsze – kanalizowało społeczny gniew. Propaganda neoliberalna, w odróżnieniu od np. PRL-owskiej, nie próbuje ugłaskać społecznych niepokojów. Nie apeluje – jak wicepremier Jagielski – o spokój, rozsądek, szacunek, powagę itp. Ona właśnie karmi się buntem, którego tak lękał się ancien regime. Obecna władza, jak żadna inna, potrafi skutecznie nim gospodarować. Ludzkie problemy, tragedie i wszechobecna nędza nie są zatem, zdaniem mediów, w najmniejszym nawet stopniu wynikiem niedyspozycji systemowych, lecz winny jest np. bezduszny, lub nieudolny urzędnik, (zwykle średniego, lub niskiego szczebla), lub też – w skrajnych przypadkach – taka czy inna zła ustawa, której zmianie służy dana dziennikarska aktywność. Zapewniało to mediom względną odbieralność, a władzy względny spokój, poprzez – nieskrępowaną żadną krytyką – swobodę w realizowaniu ustrojowych pryncypiów, których nikt w mediach nie odważył się, lub nie chciał kwestionować.

Model, który kreślę, obowiązywał w Polsce od 1989 r. i częściowo zanikł wraz z przejęciem władzy przez ekipę premiera Tuska. Stał się on bowiem dla nich bezużyteczny, a mediom, z którymi zadarł Kaczyński, przestało być wszystko jedno która

centroprawica rządzi w Polsce. Mimo że PiS posiada ciągle przychylnych im pojedynczych publicystów i topniejące redakcje tygodników, ludzie Tuska przejęli absolutnie wszystkie telewizje, od TVN po Superstację. Nastąpiła skuteczna fuzja tych środowisk, z którymi Kaczyńscy i ich partia bezskutecznie szli na wojnę – wszelkiej maści świętych krów; dziennikarzy, aktorów, „autorytetów moralnych” i innych potworów. Efekt tego jest taki, że przyzwolenie na utracanie notabli po raz pierwszy w historii zostało skutecznie skanalizowane i teraz wolno już krytykować wyłącznie PiS, SLD i wszystkich mniejszych. Dziennikarski zapach do piętnowania nadużyć władzy, który dobrze wygląda w CV, został trwale zastąpiony zapachem do piętnowania opozycji, której dostaje się już nie za nadużycia władzy (bo tych opozycja z natury nie może popełniać), lecz za samą obecność.

KOMISJE BEZ ŚLEDZTW

Pierwszy raz w historii komisji śledczych, która – przypomnę – rozpoczęła się Aferą Rywina, skutkującą upadkiem SLD, mieliśmy dwie komisje – równo relacjonowane. Jedną od afery hazardowej, a drugą do spraw nacisków. Ilekroć w komisji kierowanej przez Mirosława Sekułę wyszło na światło dzienne coś, co mogłoby stanowić dla prasy i telewizji wartą żeru nowinkę, okazywało się, że dla mediów wydają się bardziej interesujące akurat przesłuchania w komisji do spraw nacisków. Jedna komisja odwracała uwagę od drugiej, obie dla widza stały się nudziarstwem i w ten sposób żadna z głównych, prawicowych partii nie dostała takiego łupnia, który mógłby okazać się dla niej śmiertelny. O aferze hazardowej, przy której afera Rywina to były nudy, zapomniano równie szybko, jak ją ujawniono i to, nawet jak na polskie warunki, stanowi pewien precedens.

Partię polityczną z pozycją dworu Donalda Tuska można stracić z piedestału jedynie zarzutami o korupcję. W ostatnim dwudziestolecu wszystkie polityczne śmierci, poza zgonem AWS, rozpoczynały się od afer korupcyjnych, lub też od formułowanych o nie podejrzeń. Nawet pogrążonemu w seksaferze

Andrzejowi Lepperowi poprawiono jeszcze dla pewności aferą gruntową, która po latach okazała się wymysłem. Najsilniejszym więc medialnym bodźcem, mogącym utracić rząd, są właśnie zarzuty korupcyjne, bo tylko nimi operuje medialna wierchuszka. Platforma Obywatelska jest jedyną partią, która bez skrępowania może się korumpować, a media machną na to ręką z niespotykaną w historii ostentacją.

INŻYNIEROWIE DUSZ

Wpływ na taki rozwój sytuacji mają rozmaite elementy, decydujące o kształcie polskich mediów; polityczne, środowiskowe, własnościowe i edukacyjne. Obecna władza zna je jak żadna inna i też umiejętnie nimi gra. Warte są zatem szerszego omówienia.

Tworzący dzisiejsze media osobniki zostały wychowane w określonym czasie, kiedy to media przechodziły transformację ustrojową. Rok '89 stanowi, również w tej historii, niezwykle ważną cezurę. Polska Ludowa czyniła bowiem z dziennikarzy bożków na wzór PRL-owskich beletrystów. Władza z jednej strony tworzyła im rzadko spotykany na Zachodzie status społeczny i zakres wpływów, z drugiej zaś lękała się ich, i odpowiednio do sytuacji albo paktowała z nimi, albo podejmowała, nieskutecznie zresztą, próby ich represjonowania. Sporą grupę zdolniejszych przedstawicieli tego zawodu pchało to w ramiona opozycji. Ludzie ci odziedziczyli jednak po poprzednim systemie skłonność do konformizmu i ulegania ideologicznym wpływom tych sił politycznych, z którymi koniunkturalnie było im po drodze. Dyspozycyjność i pomoc we wdrażaniu ogólnokrajowej dominującej doktryny medialnej z leninowskiej (funkcjonującej jedynie w sferze oficjalnych deklaracji) w neoliberalną, nie były zatem wynikiem ideowego wyboru, a jedynie koniunkturalną zagrywką w trosce o stołki, pieniądze i pozycję, której – dzięki owej zagrywce – w nowych czasach nikt nie zakwestionował. Ludzie ci wychowali pokolenie funkcjonujące na medialnym rynku pracy już obecnie, jednak w skrajnie odmiennych warunkach. Poprzednie pokolenie poparło

bowiem bez zastrzeżeń projekt zmian własnościowych polskich mediów, który z nowopowstałych dziennikarzy nie czynił już bożków, a niewolników. Poza skromną zresztą plejadą dziennikarskich gwiazd, telewizje tworzą dzisiaj anonimowi stażyści, zarabiający grosze, jeśli w ogóle cokolwiek. Model statusu społecznego dziennikarza, przejęty po PRL i umiejętnie wpleciony we współczesne wzorce szołbiznesu i gwiazdorstwa przy faktycznym statusie prekariusza, powoduje pełną uległość dziennikarzy wobec wymagań wydawców, a tym samym władzy politycznej, która przeszła w ekstremalne podporządkowanie daleko bardziej, niż w czasach oficjalnej cenzury i monopartyjności. Wchodzący w zawód młodzi ludzie są tej uległości i zarazem bezmyślności uczeni od pierwszych dni, a w przypadku absolwentów dziennikarstwa, już na studiach. Jedyną bowiem szansą na pierwszą pracę jest prekariat z obietnicą gwiazdorstwa, w którą większość wierzy jak w wolny rynek. Jest to bodaj jedyna grupa zawodowa, której w ostatnich latach bez ograniczeń wmawiano fałsz kryzysowych konieczności, a która ów fałsz przyjęła za prawdę bez najmniejszych zastrzeżeń. Do skutecznego operowania lękiem, jako narzędziem sprawowania władzy przyczynia się też postępująca w mediach tabloidyzacja oraz infotainment, czyniący z dziennikarzy wykonawców zawodowej aktywności, która jest skomplikowana i ciekawa jak dłubanie w nosie. Tworzenie dzisiejszych mediów głównego nurtu nie wymaga od dziennikarzy najmniejszych umiejętności, ani też zdolności myślowych, co czyni z ludzi pretendujących do tego zawodu olbrzymią grupę, na ogół bezrobotnych, lub pracujących za grosze i łatwo wymienialnych petentów, którzy, z racji ich wewnątrzfirmowego, niskiego statusu, pozostają trwale przyklejeni do klamek szefów, właścicieli lub wydawców. Ludzie ci często bezgranicznie wierzą w serwowaną im obietnicę gwiazdorstwa, a uprawianą przez siebie aktywność uznają za godną pozazdroszczenia, ważną i wznoszącą ich na upragniony społeczny piedestał. Schemat, który funkcjonuje z podobnym skutkiem w naganianiu uczniów szkołom tańca, przez programy gdzie gwiazdy tańczą na lodzie, tworzy też w Polsce system informacji i – dla wielu – generuje polskie życie polityczne.

Model ten z jednej strony zapewnia krociowe zyski nadawcom, którzy mogą przebierać w niewyczerpanych źródłach taniej, czy wręcz – w przypadku stażystów, których w Polsce jest armia – darmowej, a także bezrefleksyjnej siły roboczej, z drugiej zaś stanowi łatwo sterowalne narzędzie dla władzy, która nie musi wiecznie schlebiać ulepionym w przeszłości i wówczas też uzwiązkowionym wieszczom z mediów publicznych. Wystarczy Tuskowi, że zawsze będzie się podobał właścicielom prywatnych stacji, których to właścicieli w Polsce jest – przypomnę – dwóch.

Umiejętne rozgrywanie wszystkimi tymi elementami daje władzy absolutną wyłączność na informację, generowanie politycznej sensacji, kreowanie postaci, lub też ich utracanie – wedle życzeń. Stąd, zamiast powodzi, króluje teraz na ekranach Palikot, zamiast protestów społecznych jest pałaca opony rozwydrzona hołota, a „zwykły człowiek” jest ważny i fajny pod warunkiem, że nie jest związkowcem, feministką, emerytem, rencistą (bo ci z pewnością oszukują ZUS) albo innym, zdaniem polskich żurnalistów, podejrzanym typem. Neoliberalizacja polskich mediów próbuje wykarczować z powszechnej świadomości pojęcie wykluczenia społecznego, a zaszcześcić w niej egoizm, rasizm, uwielbienie pieniądza i bozi. Obietnica modernizacji jest fałszywa i kryje się za nią wygrzebywanie ze śmietnika zatęchłych, XIX-wiecznych trucheł. Stąd tak bardzo zżymają się oni na hasło „zapłuty karzeł reakcji”. Podejrzewają jednak już ci kabotyni, że trafnie odnosi się ono do teraźniejszości.

Autor: Michał Radziechowski

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)